

JOHN GREEN

Gwiazd

NASZYCH

wina



BUKOWY LAS

1

Pod koniec zimy siedemnastego roku mojego życia mama stwierdziła, że wpadłam w depresję. Zapewne doszła do tego wniosku, bo rzadko wychodziłam z domu, spędzałam długie godziny w łóżku, ciągle czytałam tę samą książkę, mało co jadłam i całkiem sporo wolnego czasu, którego miałam w nadmiarze, poświęcałam na rozmyślenia o śmierci.

W każdej ulotce, na każdej stronie internetowej i w ogóle we wszelkich materiałach dotyczących raka wśród efektów ubocznych choroby zawsze wymieniana jest depresja. Lecz tak naprawdę ona nie jest skutkiem ubocznym raka. Depresja jest skutkiem ubocznym umierania. (Zresztą rak też jest skutkiem ubocznym umierania. Właściwie prawie wszystko nim jest). Tak czy siak, mama uznała, że potrzebuję pomocy, więc zawiozła mnie do lekarza rodzinnego, doktora Jima, który przyznał, że rzeczywiście tonę w totalnie obezwładniającej depresji klinicznej, a zatem należy zaordynować mi odpowiednie leki, a ponadto wysłać mnie na cotygodniowe zajęcia grupy wsparcia.

Do grupy, której skład bezustannie się zmieniał, należeli młodzi ludzie na różnych etapach rozwoju choroby nowotworowej. Dlaczego jej skład się zmieniał? Efekt uboczny umierania.

Oczywiście, spotkania grupy były koszmarne przygnębiające. Odbywały się co środa w podziemiu kościoła episkopalnego, mieszczącego się w kamiennym gmachu zbudowanym na planie krzyża. Siadaliśmy wszyscy w kręgu, w samym środku tego krzyża, dokładnie tam, gdzie nałożyłyby się na siebie dwie belki i gdzie znalazłoby się serce Jezusa.

Zwróciłam na to uwagę, ponieważ Patrick, lider grupy wsparcia i jej jedyny pełnoletni uczestnik, na każdym koszmarnym spotkaniu mówił o uświęconym Sercu Jezusa i o tym, jak to my, młodzi chorzy na raka, siedzimy dokładnie w samym jego środku i tak dalej.

A oto jak przebiegały spotkania w Sercu Bożym: sześcioro, siedmioro albo dziesięcioro nastolatków wchodziło/wjeżdżało na wózkach do sali, raczyło się nędznym poczęstunkiem złożonym z ciasteczek i lemoniady, siadało w Kręgu Zaufania i wysłuchiwało Patricka, który po raz tysięczny relacjonował przygnębiającą historię swojego życia, czyli mówił o tym, że miał nowotwór jąder i lekarze uważali, że umrze, ale nie umarł, i proszę – oto on, nadal żywy, zupełnie dorosły, w kościelnej piwnicy, w sto trzydziestym siódmym najładniejszym mieście Ameryki, rozwiedziony, uzależniony od gier komputerowych, niemający przyjaciół, ledwie wiążący koniec z końcem dzięki eksploataowaniu swojej nowotworowej przeszłości, mozolnie dążący do zdobycia dyplomu magisterskiego, choć on i tak nie poprawi

jego perspektyw zawodowych, czekający, jak my wszyscy, na miecz Damoklesa, niosący wyzwolenie, któremu umknął wiele lat temu, gdy rak odebrał mu oba jajka, lecz oszczędził to, co tylko najbardziej wspaniałomyślny człowiek mógłby nazwać życiem.

I TY TEŻ MOŻESZ MIEĆ TYLE SZCZĘŚCIA!

Potem się przedstawialiśmy: Imię. Wiek. Diagnoza. I jak się dzisiaj czujemy. Jestem Hazel, mówiłam, gdy nadchodziła moja kolej. Szesnaście lat. Pierwotnie rak tarczycy, z imponującą satelitarną kolonią od dawna osiadłą w płucach. I czuję się dobrze.

Gdy już prezentacje obeszły całe kółko, Patrick zawsze pytał, czy ktoś chciałby się podzielić swoimi przeżyciami. I wówczas zaczynało się prawdziwe pandemonium wsparcia: wszyscy opowiadali o sile, walce i wygrywaniu, o remisji i tomografii. Muszę oddać sprawiedliwość Patrickowi: pozwalał nam też mówić o śmierci. Ale większość obecnych nie umierała. Większość miała dożyć wieku dorosłego, tak jak on.

(Co oznaczało, że wszystko to było podszyte sporą dozą rywalizacji, ponieważ każdy chciał pokonać nie tylko nowotwór, ale też pozostałych obecnych w sali. Zdaję sobie sprawę, że to nieracjonalne, ale kiedy ci oznajmiają, że masz na przykład dwadzieścia procent szans na przeżycie pięciu lat, włącza się matematyka i uświadamiasz sobie, że to jak jeden do pięciu... Rozglądasz się więc i kalkulujesz tak, jak by to zrobiła każda zdrowa osoba: muszę przeżyć czworo z tu obecnych).

Jedynym pozytywnym akcentem na tych spotkaniach był chłopak imieniem Isaac, chudy młodzieniec o pociągłej twarzy i prostych, jasnych włosach opadających na jedno

oko. To właśnie oczy były jego problemem. Trafił mu się jakiś fantastycznie nieprawdopodobny nowotwór oczu. Jedno usunięto mu, gdy był dzieckiem, a teraz nosił koszmarnie grube okulary, przez które jego oczy (i to prawdziwe, i to szklane) wyglądały na nadnaturalnie ogromne, tak jakby cała głowa składała się głównie z gałek ocznych. Z tego, czego zdołałam się dowiedzieć przy tych rzadkich okazjach, kiedy Isaac dzielił się przeżyciami z grupą, nawrót choroby stanowił śmiertelne zagrożenie dla jego drugiego oka.

Porozumiewaliśmy się z Isaakiem niemalże wyłącznie za pomocą westchnień. Za każdym razem, gdy ktoś rekomendował nową dietę antynowotworową, wdychanie zmielonej płetwy rekina czy coś w tym rodzaju, chłopak zerkał na mnie i wzdychał dyskretnie. Ja nieznacznie kręciłam głową i wzdychałam w odpowiedzi.

A zatem grupa wsparcia była kompletnie denna i po kilku tygodniach na samą myśl o niej miałam ochotę kopać i wrzeszczeć. Akurat tej środy, kiedy miałam poznać Augustusa Watersa, siedziałam na kanapie z mamą i oglądałam trzeci etap dwunastogodzinnego maratonu z poprzedniego sezonu *America's Next Top Model* (który, prawdę mówiąc, już widziałam, ale co tam), wszelkimi sposobami usiłując się wykręcić od wyjścia z domu.

Ja: Odmawiam chodzenia na grupę wsparcia.

Mama: Jednym z symptomów depresji jest brak zainteresowania formami aktywnego spędzania czasu.

Ja: Proszę, pozwól mi oglądać *America's Next Top Model*.
To jest aktywne spędzanie czasu.

Mama: To jest pasywne spędzanie czasu.

Ja: Mamo! Proszę.

Mama: Hazel, jesteś już nastolatką, nie małym dzieckiem. Musisz mieć przyjaciół, wychodzić z domu i prowadzić normalne życie.

Ja: Jeżeli chcesz, żebym była nastolatką, nie posyłaj mnie na grupę wsparcia. Kup mi fałszywy dowód osobisty, żebym mogła chodzić do klubów, pić wódkę i brać haszysz.

Mama: Zacznijmy od tego, że haszyszu się nie bierze.

Ja: Widzisz, wiedziałabym takie rzeczy, gdybyś załatwiła mi fałszywy dowód.

Mama: Pójdiesz na grupę wsparcia.

Ja: Błeee!

Mama: Hazel, zasługujesz na normalne życie.

To zamknęło mi usta, choć nie bardzo rozumiałam, jak uczestniczenie w spotkaniach grupy wsparcia wpasowuje się w definicję „normalnego życia”. Zgodziłam się pójść – jednak najpierw wynegocjowałam prawo do nagrania półtora odcinka programu, który miał mnie ominąć.

Chodziłam na grupę wsparcia z tych samych powodów, z których pozwalałam pielęgniarkom po zaledwie półtorarocznej edukacji truć mnie chemikaliami o egzotycznych nazwach: chciałam zadowolić rodziców. Na tym świecie jest tylko jedna rzecz okropniejsza niż umieranie na raka w wieku szesnastu lat, a jest nią posiadanie dziecka, które na tego raka umiera.

Mama zaparkowała na okrągłym podjeździe z tyłu kościoła o 16.56. Udawałam, że poprawiam coś przy butli z tlenem, żeby zyskać chociaż sekundę.

– Chcesz, żebym ci to zaniosiła?

– Nie trzeba – odrzekłam. Cylindryczny zielony zbiornik ważył tylko kilka kilogramów, a poza tym i tak ciągnęłam

go za sobą na małym metalowym wózku. Butla dostarczała mi dwa litry tlenu na minutę za pośrednictwem wąsów tlenowych – przejrzystej rurki, która rozdzielała się na karku, zawijała za uszami i ponownie łączyła pod nosem. Całe to urządzenie było niezbędne, ponieważ moje płuca w roli płuc spisywały się beznadziejnie.

– Kocham cię – powiedziała mama, gdy wysiadłam.

– Ja ciebie też, mamo. Do zobaczenia o szóstej.

– Zaprzyjajnij się z kimś! – zawołała przez opuszczone okno, kiedy się oddalałam.

Nie chciałam jechać windą, ponieważ jazda windą w grupie wsparcia to czynność symptomatyczna dla Ostatnich Dni. Zeszłam więc po schodach. Wzięłam sobie ciastko, nalałam trochę lemoniady do plastikowego kubka, a potem się odwróciłam.

Patrzył na mnie chłopak.

Na pewno nigdy wcześniej go nie widziałam. Był wysoki i smukły, choć muskularny. Plastikowe krzeselko, jakich używają dzieci w podstawówce, wydawało się pod nim śmiesznie małe. Miał mahoniowe włosy, proste i krótkie. Wyglądał, jakby był w moim wieku, może o rok starszy. Siedział, opierając się kością ogonową o krawędź krzesła, w pozie agresywnie niedbałej, z jedną dłonią do połowy wsuniętą do kieszeni ciemnych dżinsów.

Odwróciłam wzrok, nagle świadoma swoich rozlicznych niedoskonałości. Miałam na sobie stare dżinsy, które niegdyś były obcisłe, ale teraz wisały w niewłaściwych miejscach, oraz żółtą koszulkę z emblematem zespołu, którego już nawet nie lubiłam. Do tego ta fryzura: byłam ostrzyżona na pazia i nawet się nie pofatygowałam, żeby przed wyjściem przeczesać włosy szczotką. Co więcej, miałam śmiesznie

okrągłe policzki – efekt uboczny terapii. Wyglądałam jak proporcjonalnie zbudowana osoba z balonem zamiast głowy. Nie wspominając o opuchniętych kostkach u nóg. Znów zerknęłam na niego i okazało się, że nadal mnie obserwuje.

Przyszło mi do głowy, że nareszcie rozumiem, dlaczego to się nazywa k o n t a k t wzrokowy.

Weszłam w krąg i usiadłam przy Isaacu, w odległości dwóch krzeseł od tamtego chłopaka. Znów zerknęłam. A on wciąż na mnie patrzył.

Powiem wprost: był przystojny. Jeśli nieatrakcyjny chłopak uporczywie się w ciebie wgapia, to w najlepszym wypadku uznajesz jego zachowanie za krępujące, a w najgorszym za formę napastowania. Ale przystojny chłopak... no cóż.

Wyjęłam telefon i nacisnęłam przycisk, żeby sprawdzić godzinę – 16.59. Krąg zapełnił się nieszczęśnikami w wieku od dwunastu do osiemnastu lat, a potem Patrick rozpoczął od modlitwy o pogodę ducha: „Panie, daj mi siłę, abym zmienił to, co zmienić mogę; daj mi cierpliwość, abym zniósł to, czego zmienić nie mogę, i daj mi mądrość, abym odróżnił jedno od drugiego”. A ten facet nadal się we mnie wpatrywał. Poczułam, że się rumienię.

W końcu uznałam, że najodpowiedniejsza strategia to też zacząć się gapić. Przecież chłopaki nie mają monopolu na takie zachowanie. Zatem wpiłam się w niego przenikliwym wzrokiem, podczas gdy Patrick po raz tysięczny opowiadał o swojej bezjajeczności i tak dalej. Rozpoczęliśmy pojedynek na spojrzenia. Po chwili przystojniak uśmiechnął się i wreszcie zwrócił swoje błękitne oczy w inną stronę. Kiedy znów na mnie popatrzył, uniesieniem brwi oznajmiłam: „Ja wygrałam”.

Wzruszył ramionami. Patrick mówił dalej, aż w końcu nadszedł czas na przedstawienie się.

– Isaac, może ty będziesz dzisiaj pierwszy. Wiem, że czekają cię trudne chwile.

– Tja – potwierdził Isaac. – Na imię mi Isaac. Mam siedemnaście lat. I wygląda na to, że za kilka tygodni przejdę operację, po której stracę wzrok. Nie żebym narzekał czy coś, ponieważ wiem, że wielu z nas ma gorzej, ale cóż, bycie ślepcem jest do bani. Jakoś daję radę dzięki pomocy mojej dziewczyny. I takich przyjaciół jak Augustus. – Skinął głową w stronę chłopaka, który w ten sposób zyskał imię. – No i tak... – westchnął. Patrzył teraz na swoje dłonie, które złożył w kształt tipi. – Nic nie można na to poradzić.

– Możesz na nas polegać, Isaacu – odezwał się Patrick. – Powiedźcie to Isaacowi. Wszyscy monotonnym głosem wyskandowaliśmy:

– Możesz na nas polegać.

Następnie przyszła kolej na Michaela. Dwanaście lat. Białaczka. Od zawsze chorował na białaczkę. Czuł się dobrze. (A przynajmniej tak twierdził. Przyjechał windą).

Lida miała szesnaście lat i była dość ładna, by nasz przystojniak mógł zawiesić na niej oko. Była stałą członkinią grupy – miała właśnie długi okres remisji nowotworu wyrostka robaczkowego. Do tej pory nie wiedziałam, że coś takiego w ogóle istnieje. Powiedziała – jak za każdym poprzednim razem, kiedy brałam udział w spotkaniu – że czuje się s i l n a. Odebrałam to jako przechwałkę, czując, jak delikatny strumień tlenu łaskocze mnie w nozdrza.

Jeszcze pięć innych osób musiało się przedstawić, zanim dotarliśmy do niego. Uśmiechnął się lekko. Głos miał niski, chrapliwy i zabójczo seksowny.

– Nazywam się Augustus Waters – oznajmił. – Mam siedemnaście lat. Półtora roku temu zawarłem przelotną znajomość z kostniakomiesakiem, ale dziś przyszedłem tutaj na prośbę Isaaca.

– A jak się czujesz? – zapytał Patrick.

– O, świetnie. – Augustus Waters uśmiechnął się kątem ust. – Jak na rollercoasterze, który cały czas jedzie w górę, przyjacielu.

Gdy nadeszła moja kolej, powiedziałam:

– Jestem Hazel. Mam szesnaście lat. Guz tarczycy z przerzutami do płuc. Czuję się dobrze.

Godzina mijała szybko. Omawiano walki, zwycięskie bitwy w wojnach skazanych na przegraną. Żywiono się nadzieją. Wychwalano i potępiano rodziny. Uzgodniono, że przyjaciele po prostu tego nie rozumieją. Popłynęły łzy. Zaoferowano pocieszenie. Ani Augustus Waters, ani ja nie odzywaliśmy się, dopóki Patrick nie zaproponował:

– Augustusie, może zechciałbyś podzielić się z grupą swoimi obawami.

– Moimi obawami?

– Tak.

– Boję się zapomnienia – wyznał bez chwili wahania.

– Boję się tego niczym ślepiec ciemności.

– Za wcześnie na takie uwagi – wtrącił Isaac z lekkim uśmiechem.

– Wyraziłem się niedelikatnie? – zafrasował się Augustus. – Potrafię być ślepy na uczucia innych ludzi.

Isaac zaśmiał się, ale Patrick uniósł palec w karzącym geście.

– Augustusie, proszę, wróćmy do ciebie i twoich walk. Powiedziałeś, że boisz się zapomnienia?

– Tak – potwierdził chłopak.

Patrick wyglądał na zagubionego.

– Czy, hm, czy ktoś chciałby jakoś to skomentować?

Nie chodziłam do normalnej szkoły od trzech lat. Moimi najlepszymi przyjaciółmi byli rodzice. Trzecim przyjacielem był pisarz, który nie miał nawet pojęcia o moim istnieniu. Należałam do osób raczej nieśmiałych, nie do takich, które w klasie ciągle siedzą z ręką w górze.

A mimo to tym razem postanowiłam się odezwać. Niepewnie podniosłam dłoń i Patrick, wyraźnie zachwycony, natychmiast zawołał:

– Hazel!

Na pewno uznał, że się wreszcie otworzyłam, że staje się Częścią Grupy.

Popatrzyłam na Augustusa Watersa, który odwzajemnił moje spojrzenie. Oczy miał tak błękitnie, że aż przejrzyste.

– Nadejdzie czas – zaczęłam – gdy wszyscy będziemy martwi. Nadejdzie czas, gdy nie pozostanie ani jeden człowiek, który by pamiętał, że ktokolwiek kiedykolwiek żył czy że nasz gatunek czegokolwiek dokonał. Nie pozostanie nikt, kto by pamiętał Arystotelesa lub Kleopatę, a co dopiero ciebie. Wszystko, co zrobiliśmy, zbudowaliśmy, napisaliśmy, wymyśliliśmy albo odkryliśmy, pójdzie w zapomnienie, a to – wykonałam szeroki gest – zupełnie straci sens. Może ta chwila nadejdzie szybko, a może jest odległa o miliony lat, ale nawet jeśli przetrwamy śmierć naszego słońca, nie będziemy istnieć wiecznie. Był czas, gdy organizmy nie miały świadomości, i nadejdzie czas, gdy znów będą jej pozbawione. Nie myśl o tym, że zapomnienie jest nieuniknione. Wierz mi, że wszyscy tak robią.

Dowiedziałam się tego od wspomnianego wcześniej trzeciego najlepszego przyjaciela, Petera van Houtena, żyjącego w odosobnieniu autora *Ciosu udręki*, książki w moim mniemaniu najbliższej Biblii. Peter van Houten był jedynym znanym mi człowiekiem, który zdawał się (a) rozumieć, jak to jest umierać, lecz (b) jednak nie umrzeć.

Kiedy skończyłam, zapadła dość długa cisza, a ja patrzyłam, jak na twarz Augustusa wypęła uśmiech – nie krzywy uśmieszek chłopaka, który chciał wyglądać seksownie, gdy się we mnie wgapiał, ale prawdziwy uśmiech, wręcz za szeroki na jego twarz.

– Niech to geś! – powiedział cicho. – Niezły z ciebie numer.

Żadne z nas nie odezwało się więcej do zakończenia spotkania. Na koniec musieliśmy wszyscy wziąć się za ręce i Patrick odmówił modlitwę.

– Panie Jezu Chryste, zebraliśmy się tutaj w Twoim Sercu, dosłownie w Twoim Sercu, ponieważ dotknęła nas choroba. Tylko Ty znasz nas tak dobrze, jak my znamy siebie. Poprowadź nas ku życiu i światłu przez ten czas próby. Modlimy się za oczy Isaaca, za krew Michaela i Jamiego, za kości Augustusa, za płuca Hazel, za krtań Jamesa. Modlimy się, byś nas uzdrowił i byśmy odczuli Twój pokój i Twoją miłość, która przekracza wszelkie zrozumienie. Nosimy w sercach tych, których znaleźmy i kochaliśmy, a którzy odeszli do Twego domu: Marię, Kade'a, Josepha, Haley, Abigail, Angelinę, Taylor, Gabriela...

Lista była długa. Wielu ludzi na tym świecie już zmarło. I podczas gdy Patrick monotonnym głosem odczytywał litanię imion z kartki papieru, ponieważ była za długa, żeby nauczyć się jej na pamięć, ja z zamkniętymi

oczami starałam się zachować modlitewny nastrój, ale przede wszystkim wyobrażałam sobie dzień, w którym moje imię znajdzie się w tym zestawieniu, na samym jego końcu, gdy wszyscy już przestają słuchać.

Kiedy Patrick umilkł, wygłosiliśmy tę durną mantrę – BĘDĘ ŻYŁ DZIŚ NAJLEPIEJ, JAK POTRAFIĘ – i spotkanie dobiegło końca. Augustus Waters dźwignął się z krzesła i podszedł do mnie. Chód miał tak samo krzywy jak uśmiech. Był ode mnie znacznie wyższy, ale stanął w pewnej odległości, więc nie musiałam odchyłać głowy, by spojrzeć mu w oczy.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Hazel.

– A pełne nazwisko?

– Hazel Grace Lancaster.

Już miał powiedzieć coś więcej, kiedy podszedł do nas Isaac.

– Poczekaj chwilę – poprosił Augustus, unosząc palec, a potem zwrócił się do kolegi: – Było znacznie gorzej, niż uprzedzałeś.

– Mówiłem ci, że to przygnębiające.

– To po co bierzesz w tym udział?

– Nie wiem. Może trochę pomaga?

Augustus spytał go na ucho, myśląc, że nie usłyszę:

– Czy ona często tu przychodzi?

Nie dosłyszałam odpowiedzi Isaaca, ale Augustus rzekł:

– Rozumiem. – Ujął przyjaciela za oba ramiona i cofnął się pół kroku. – Opowiedz Hazel, co się wydarzyło w klinice.

Isaac oparł się dłonią o stół z przekąskami i skupił na mnie spojrzenie swojego wielkiego oka.

– Dobra. Poszedłem rano do kliniki i wyznałem chirurgowi, że wolałbym być głuchy niż ślepy. A on na to: „To nie działa w ten sposób”, więc ja: „Tja, rozumiem, że to tak nie działa. Mówię tylko, że wolałbym być głuchy niż ślepy, gdybym miał wybór, choć przecież wiem, że go nie mam”. A facet odpowiedział: „Dobra wiadomość jest taka, że nie będziesz głuchy”. Odrzekłem więc: „Dziękuję za zapewnienie, że nie ogłuchnę z powodu raka oka. Mam wielkie szczęście, że taki intelektualny gigant jak pan zgodził się mnie operować”.

– Prawdziwy kozak – uznałam. – Postaram się zachorować na nowotwór oka, żeby tylko go poznać.

– Powodzenia. No dobra, muszę lecieć. Czeka na mnie Monica. Chcę się na nią napatrzeć, póki mogę.

– Gramy w Counterinsurgence jutro? – zapytał Augustus.

– No pewnie. – Isaac okręcił się na pięcie i wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Augustus odwrócił się do mnie.

– Dosłownie – powiedział.

– Dosłownie? – zdziwiłam się.

– Znajdujemy się dosłownie w Sercu Jezusa – wyjaśnił.

– Myślałem, że to kościelna piwnica, a tymczasem to dosłownie Serce Jezusa.

– Ktoś powinien mu o tym powiedzieć – zauważyłam.

– Chyba niebezpiecznie jest trzymać w swoim sercu młodzież chorą na raka.

– Sam bym mu powiedział – wtrącił Augustus – ale niestety dosłownie utknąłem w Jego Sercu, więc mnie nie usłyszysz.

Zaśmiałam się. Pokręcił głową, spoglądając na mnie.

– Co? – zapytałam.

– Nic – odrzekł.

– To dlaczego tak na mnie patrzysz?

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Bo jesteś piękna. Lubię patrzeć na pięknych ludzi, a jakiś czas temu postanowiłem nie odmawiać sobie prostych życiowych przyjemności. – Zapadła krótka niezręczna cisza. Augustus przebił się przez nią. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że wszystko i tak skończy się zapomnieniem, jak przed chwilą wyjątkowo klarownie wyłożyłaś.

Parsknęłam, westchnęłam czy może odetchnęłam, co i tak zabrzmiało jak kaszlnięcie, po czym zaprotestowałam:

– Nie jestem...

– Przypominasz zbuntowaną Natalie Portman. Natalie Portman z filmu *V jak vendetta*.

– Nie widziałam go.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Piękna, rozczochrana dziewczyna zadziera z władzami i wbrew własnej woli zakochuje się w pewnym mężczyźnie, choć wie, że ma on kłopoty. Czy to nie brzmi jak twoja biografia?

Flirtował każdą sylabą. Mówiąc szczerze, ekscytował mnie. Nie wiedziałam nawet, że faceci mogą mnie ekscytować – nie w ten sposób, nie w rzeczywistości.

Obok nas przeszła jakaś młodsza dziewczynka.

– Jak leci, Aliso? – zapytał.

Uśmiechnęła się i wymamrotała:

– Cześć, Augustusie.

– Dziewczyna z Memoriała – wyjaśnił. Memorial był dużym szpitalem klinicznym. – A ty gdzie się leczysz?

– W Dziecięcym – odrzekłam, a mój głos zabrzmiał dużo słabiej, niż tego chciałam. Augustus pokiwał głową.

Najwyraźniej rozmowa dobiegła końca. – No cóż... – powiedziałam, niepewnie wskazując głową schody, które miały nas wyprowadzić z Dosłownego Serca Jezusa. Przechyliłam wózek i ruszyłam. Augustus pokuśtykał obok mnie. – Do zobaczenia następnym razem – zasugerowałam.

– Powinnaś go obejrzeć – oznajmił. – To znaczy film *V jak vendetta*.

– Dobra. Postaram się.

– Nie. Ze mną. W moim domu – wyjaśnił. – Teraz.

Zatrzymałam się.

– Ledwie cię znam, Augustusie Watersie. Równie dobrze możesz maniakałnie mordować ludzi siekierą.

Pokiwał głową.

– Słusznie, Hazel Grace. – Miął mnie. Jego szerokie ramiona rozpychały zieloną koszulkę polo. Plecy miał proste, choć lekko przechylał się w prawo, z powodu protezy nogi, jak się domyśliłam. Kostniakomiesak czasami odbiera kończyne, żeby sobie spróbować człowieka. A jak mu posmakuje, bierze też resztę.

Poszłam za nim na górę, ale zostałam w tyle. Poruszałam się powoli, gdyż wchodzenie po schodach nie stanowiło ulubionego ćwiczenia dla moich płuc.

Potem wyszliśmy z Jezusowego Serca na parking. Wiosenne powietrze osiągnęło chłodną stronę doskonałości, a późnopołudniowe słońce niebiańsko raniło nasze oczy*.

Mama jeszcze nie przyjechała, co wydało mi się dziwne, ponieważ do tej pory zawsze na mnie czekała. Rozejrzałam się i zauważyłam, jak wysoka, kształtna brunetka wgniata Isaaca w kamienną ścianę świątyni, całując go zaborczo. Znajdowali się na tyle blisko, że moich uszu dobiegały

* Nawiązanie do wiersza Emily Dickinson *Bywa światła Pochylenie*.

specyficzne dźwięki, które wydawali, a także słyszałam, jak on powtarza: „Zawsze”, a ona odpowiada: „Zawsze”.

Nagle koło mnie stanął Augustus i szepnął:

– Oni mocno wierzą w zasadę Publicznego Okazywania Uczuć.

– O co chodzi z tym „zawsze”? – Siorbanie zyskało na intensywności.

– To ich motto. Będą się z a w s z e kochali i tak dalej. Ostrożnie szacując, powiedziałbym, że w ciągu ostatniego roku użyli tego słowa jakieś cztery miliony razy.

Podjechały kolejne dwa samochody, do których wsiedli Michael oraz Alisa. Zostaliśmy tylko ja i Augustus, obserwujący Isaaca i Monicę, którzy poczynali sobie coraz śmielej, jakby wcale nie opierali się o ścianę miejsca kultu. Isaac sięgnął do jej piersi pod koszulką i zaczął ją mięcić, trzymając dłoń nieruchomo i poruszając tylko palcami. Zastanawiałam się, czy to może być przyjemne. Wcale tak nie wyglądało, ale postanowiłam wybaczyć Isaacowi, ponieważ miał niedługo stracić wzrok. Zmysły muszą się nasycić, póki człowiek czuje jeszcze głód i tak dalej.

– Wyobraź sobie, że po raz ostatni jedziesz do szpitala – odezwałam się cicho. – Po raz ostatni w ogóle jedziesz samochodem.

Nie patrząc na mnie, Augustus odparł:

– Psujesz mi nastrój, Hazel Grace. Usiłuję obserwować pierwszą miłość z jej cudowną nieporadnością.

– Wydaje mi się, że on sprawia jej ból – zauważyłam.

– Tak, trudno orzec, czy próbuje ją podniecić, czy wykonać badanie piersi. – W tym momencie Augustus Waters sięgnął do kieszeni i wyjął – Panie, zlituj się – paczkę papierosów. Otworzył ją i włożył papierosa do ust.

– Ty tak na poważnie? – zdumiałam się. – Uważasz, że to jest fajne? O Boże, właśnie wszystko zniszczyłeś.

– Jakie wszystko? – zainteresował się, patrząc na mnie. Niezapalony papieros zwisał z kącika jego nieuśmiechniętych ust.

– Całą sytuację, kiedy to chłopak, który nie jest nieatrakcyjny, nieinteligentny czy nie do zaakceptowania w jakiś szczególnie widoczny sposób, gapi się na mnie, rozumie niewłaściwe użycie dosłowności, porównuje mnie do aktorek i zaprasza do swojego domu na film. Ale oczywiście musi istnieć jakaś hamartia, a twoja polega na tym, że, mój Boże, chociaż miałeś cholernego raka, płacisz korporacji za szansę na to, aby wyhodować sobie kolejnego. O mój Boże! Zapewniam cię, że problemy z oddychaniem wcale nie są fajne. Totalnie się rozczarowałam. Totalnie.

– Hamartia? – zapytał, nadal z papierosem w ustach, przez co zaciskał zęby. Niestety miał piękną linię szczęki.

– Tragiczna skaza – wyjaśniłam, odwracając się od niego. Ruszyłam do krawężnika, zostawiając Augustusa z tyłu, i wtedy usłyszałam, że nieopodal rusza jakiś samochód. To była mama. Pewnie czekała, żebyśmy się z kimś zaprzyjaźniła czy coś w tym rodzaju.

Czułam, jak narasta we mnie ta dziwna mieszanina rozczarowania i złości. Nawet nie wiem tak naprawdę, co to było za uczucie, tylko że mnie przepełniało i że chciałam wałnąć Augustusa, a równocześnie wymienić moje płuca na takie, które potrafią być płucami. Stałam w trampkach na samej krawędzi krawężnika z kulą na łańcuchu w postaci zbiornika z tlenem i dokładnie w chwili, gdy mama podjechała, poczułam, jak ktoś chwytą mnie za rękę.

Wyrwałam dłoń, ale odwróciłam się do niego.

– Nie zabijają, dopóki ich nie zapalisz – powiedział, kiedy samochód zatrzymał się przy nas. – A ja nigdy żadnego nie zapaliłem. Widzisz, to metafora: trzymasz w zębach czynnik niosący śmierć, ale nie dajesz mu mocy, by zabijał.

– Metafora – powtórzyłam z powątpiewaniem. Mama czekała.

– Owszem, metafora – zapewnił.

– Czyli wybierasz swoje zachowania ze względu na ich metaforyczny wydźwięk... – podsumowałam.

– O, tak. – Uśmiechnął się. Szerokim, głupkowatym, prawdziwym uśmiechem. – Głęboko wierzę w metafory, Hazel Grace.

Odwróciłam się do samochodu. Zastukałam w okno. Otworzyło się.

– Idę na film do Augustusa Watersa – powiedziałam.

– Proszę, nagraj dla mnie kilka kolejnych odcinków maratonu *ANTM*.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



ŚWIATOWY MEGABESTSELLER

**AUTOR WŚRÓD 100 NAJBARDZIEJ WPŁYWOWYCH
LUDZI NA ŚWIECIE WEDŁUG MAGAZYNU „TIME”**

Nastoletnia Hazel, odkąd zdiagnozowano u niej nowotwór, nie chodzi do szkoły. Spędza czas w domu, bez przyjaciół, w towarzystwie aparatu tlenowego. Kiedy jednak na spotkaniu grupy wsparcia dla chorej młodzieży poznaje Augustusa, jej życie nabiera barw. Dziewczyna wyrusza w nieoczekiwaną i zarazem wytęsknioną podróż w poszukiwaniu odpowiedzi na kluczowe pytania.

Porywająca, odważna, a przy tym pełna humoru i ironii powieść o potędze miłości, która potrafi pokonać wszelkie przeszkody.



Nr 21000110

ISBN 978-83-8074-521-6



9 788380 745216



bukowylas.pl

Cena: 39,90 zł

